

# Czy zmiana warty w światowym WKKW

Jerzy Grabowski



Jacek Wierzchowiecki z LZS Cwał — Poznań — nasz czołowy jeździec w dyscyplinie WKKW, uznany w 1974 r. za 15 jeźdźca WKKW w skali światowej; na zdjęciu na koniu Hangar podczas JMP WKKW w Kwidzynie w 1974 r.

Zespołowe i podwójne indywidualne zwycięstwo jeźdźców z Ameryki Płn. (USA) w Mistrzostwach Świata WKKW w Burghley w 1974 r. (Anglia) oraz złoty zespołowy, srebrny i brązowy indywidualne medale na Mistrzostwach Europy WKKW w 1973 r. w Kijowie (ZSRR) zdobyte przez ekipę Republiki Federalnej Niemiec — odbiły się szerokim echem i wywołały liczne komentarze w prasie fachowej. Wieloletnia, zdecydowana supremacja Anglii w tej dyscyplinie została gwałtownie przerwana. Przegrana Anglików w niezupełnie normalnych warunkach crossu kijowskiego i przy niezbyt szczęśliwie zestawionym zespole mogła już być pewnym zaskoczeniem, natomiast zdecydowana przegrana z zespołem USA na własnym terenie, faworyzującym gospodarzy dzięki doskonałej jego znajomości, własnej publiczności i podwójnej liczbie wystawionych konkurentów, była ogromnym zaskoczeniem dla opinii sportowego i hodowlanego świata.

Czy to jednak naprawdę zmienia aktualny układ sił w czołówce światowej? RFN, a zwłaszcza USA są naprawdę wielkimi potęgami w jeździectwie, zaś w WKKW stanowią wspólnie z Australią ścisłą czołówkę światową. Pomimo jednak sporadycznych sukcesów nie mogą w walce z Anglikami dorównać im pod względem jakości materiału końskiego, umasowienia tej dziedziny sportu konnego i niezwykle wyrównanego poziomu czołówki krajowej.

Od czasu Igrzysk Olimpijskich w 1972 r. w Monachium odbyło się 9 poważnych imprez w WKKW, z CCIO Kijów 1973 (ME) i CCIO Burghley 1974 (MSw.) na czele. Anglicy nie zawsze je wygrywali, lecz nawet obsadzając konkursy młodymi jeźdźcami i końmi odgrywali dominującą rolę. W Kijowie

zajęli zespołowo dopiero III miejsce, ale indywidualnie zajęli 4, 5, 12, 14 i 16, a więc wszystkie w pierwszej połowie startujących. W Burghley zajęli zespołowo II miejsce, a indywidualnie 3, 4, 7, 9, 10, 11, 12, 22 i 24, a więc znów wszystkie w pierwszej połowie.

Podczas CCI w Punchestown (Irlandia) w 1974 r. wyraźnie ustąpili gospodarzom, ale zdecydowanie pobili innych, wprowadzając zupełnie nowych jeźdźców na 3, 5, 10 i 11 miejsce. Podczas CCI w Badmington (Anglia) w 1974 r. tylko obecny mistrz świata, Amerykanin Dawidson zdołał zająć III m., a na 60 startujących w pierwszej „piętnastce” było 14 Anglików. Dość wysoko notowane CCI w Boekolo (Holandia) w latach 1972 i 1973 kończyły się zdecydowanymi zwycięstwami Anglików.

Bardzo ciekawym dla porównania sił angielskich i amerykańskich było CCI w Ledyard Farm (USA) w 1973 r. W pierwszej dziesiątce znalazło się 7 jeźdźców angielskich na miejscach 1, 4, 6, 7, 8, 9 i 10.

Można dyskutować, czy we wszystkich tych CCI spotykała się czołówka, choćby nawet europejska, ale jest również bezsprzecznym faktem, że Anglicy wystawiali do swoich zespołów ciągle nowych jeźdźców, a przede wszystkim amazonki, zaś konie hodowli angielskiej startowały również w innych ekipach.

Wydaje się więc oczywiste, że Anglię, z jej bardzo potężną bazą koni i jeźdźców, należy w dalszym ciągu uważać za największą potęgę światową w WKKW, niezależnie od uzyskania czasami gorszych wyników, które — zwłaszcza w tej konkurencji — w dużym stopniu zależą od przypadku i szczęścia. Mark Phillips zdecydowanie przecież prowadził po próbie terenowej Mistrzostw Świata w Burghley i tylko nieznaczna kontuzja jego wspaniałego Columbusa wyłączyła go z ostatecznej walki o tytuł mistrzowski, w której miał przecież najwięcej szans.

Swoją drogą należy podziwiać wielki humanitaryzm w stosunku do zwierząt, który przesądził o wycofaniu konia z konkurencji w chwili, gdy złoty medal był już prawie pewny. Zdecydowana interwencja lekarzy weterynarii mogła przecież doprowadzić tego konia do startu w próbie skoków. Anglicy woleli z niej jednak zrezygnować. Nie wiem czy kto inny postąpiłby podobnie.

Trudno dziś rozpatrywać czy Anglicy, czy też Amerykanie zajmują pierwszą lokatę w świecie. Obie ekipy były świetne, obie dysponowały fenomenalnym materiałem końskim z tym, że większość koni amerykańskiej ekipy była urodzona w Anglii lub Irlandii. Rutyna koni amerykańskich była większa, trzy z nich miały już za sobą Igrzyska Olimpijskie w Monachium, a jeden nawet i Olimpiadę w Meksyku.

Jeźdźcy wchodzący w skład zespołów obu ekip byli na równie wysokim poziomie i od dawna należeli do czołówki światowej. Natomiast Amerykanie wystawili w konkurencji indywidualnej dwie młode dziewczyny, z których jedna dosiadała 15-letniego Furtive (ukończył dwie Olimpiady w ekipie australijskiej), natomiast druga po raz pierwszy w życiu jechała pełne WKKW. Obie wypadły doskonale, lecz obu nie należy wróżyć zbyt długiej kariery zawodniczej ze względu na bardzo masywną ich budowę. Czy stanowią one ściśle zaplecze czołówki amerykańskiej, czy wstawiono je do ekipy ze względów szkoleniowych — trudno dociec, natomiast oba takie posunięcia byłyby dla mnie niezrozumiałe.

Anglicy natomiast wystawili liczną grupę jeźdźców indywidualnych, z których każdy (a przeważnie każda) był potencjalnym kandydatem na najwyższe lokaty. Pod tym względem Anglia nie ma i nie może



Marek Małecki z LZS Moszna — Mistrz Polski WKKW 1974, na zdjęciu na koniu Siros podczas JMP WKKW w Kwidzynie w 1974 r.

mieć sobie równych. Wyszkolenie jeźdźców i koni jest u Anglików niejednolite i pozostające ciągle pod wpływem stylu myśliwskiego. Co prawda są to tylko bardzo nieznaczne pozostałości, niemniej jednak to one prawdopodobnie stanowią główny atut w bardzo ciężkim terenie. Inna sprawa, że Anglicy w ostatnich latach bardzo poważnie zajęli się precyzyjnym ujeżdżeniem koni, tak w pojęciu dressage'owym jak i WKKW-owskim, zmieniając dosiady i stosując dużo więcej ćwiczeń gimnastycznych w ujeżdżeniowym przygotowaniu koni. Ich jazda w terenie uległa też pewnym zmianom, jest tam dziś więcej zbierania konia przed właściwym najazdem na przeszkodę i dokładnego rozliczania odskoku. Niemniej jednak czasy uzyskiwane przez nich, nawet w najcięższym terenie, są imponujące. Typ koni ulega ciąglemu przeobrażaniu w kierunku szlachetności, ale bez utraty kalibru i wzrostu. Są to konie naprawdę imponujące, obojętne czy są bardzo masywne, ale ogromnie szlachetną półkrwią, czy też prawie nie różniącą się od niej pełną krwią. Biorąc pod uwagę ogromne sukcesy takich jeźdźców angielskich, jak ostatnia gwiazda WKKW Chris Collins (m. in. I w Pardubicach w 1973 r., a III w 1974 r.), czy nawet księżniczka Anna, to z całą pewnością można twierdzić, że główną zasługę mają w tym fenomenalne konie. Niemniej jednak ogromne masy niesłuchanie zamiłowanych i ambitnych, od dziecka zżytych z terenem i parcoursem jeźdźców, są zjawiskiem zupełnie wyjątkowym w skali światowej.



Józef Kutysz z WKS Legia — Miłosna — II wicemistrz Polski WKKW 1974; na zdjęciu na koniu Orlik podczas JMP WKKW w Kwidzynie 1974 r.

Trudno pod tym względem porównywać Anglików z Amerykanami, gdyż na temat poziomu masowego jeździectwa tych ostatnich niewiele wiemy. Jest on jednak na pewno wysoki, jeżeli pozwala wyselekcjonowywać tak doskonale ekipy. Pod względem jednolitości stylu oraz wyszkolenia jeźdźców i koni dosiadanych przez reprezentacyjną ekipę — Amerykanie są dziś na pewno poza wszelką konkurencją. Ale tu trzeba powiedzieć jedno wielkie słowo: Jack Le Goff. Ten współtwórca francuskiego złotego medalu na Olimpiadzie w Meksyku oraz wielu sukcesów ekipy francuskiej do

1971 r., po nieporozumieniach z Francuską Federacją Jeździecką został natychmiast zaangażowany przez Amerykanów na trenera ekipy 'olimpijskiej'. Już w 1972 r. srebrny medal olimpijski i wysokie indywidualne miejsca, a przede wszystkim styl, w jakim zostały one zdobyte przez jeźdźców amerykańskich, potwierdziły najwyższą klasę trenerską Jacka Le Goff. To co dla skoczków amerykańskich zrobił legendarny już Berthelan de Nemethy — to dziś robi dla WKKW-istów Jack Le Goff. Ameryka nie od dziś jest światową potęgą w jeździectwie i na pewno ma swoich dobrych trenerów, ale tam gdzie chodziło o osiągnięcie najwyższego wyczynu nie wahała się sięgnąć po obcokrajowców, jakimi są Węgier de Nemethy i Francuz Le Goff. Opłaciło się to sowicie.

Styl reprezentowany przez jeźdźców i konie amerykańskie jest chyba ideałem tego co chciałoby się w WKKW widzieć. Całkowita prawie jednolitość wyszkolenia jeźdźców i koni, i to o dużych różnicach wieku i rutyny, zaprzecza do pewnego stopnia obecnym poglądom, że w powojennym jeździectwie nie dominują już style reprezentowane przez wybitne narodowe szkoły ekwitacji, a jedynie style reprezentowane przez czołowych jeźdźców świata, naśladowane i indywidualizowane przez innych.

Konie ekipy amerykańskiej, w wieku od 10 do 16 lat, rutynowane, duże folbluty lub bardzo w krew zaawansowane konie półkrwi, z których jeden jest urodzony w USA, jeden w Kanadzie, a reszta w Anglii i Irlandii, są może nie tak kalibrowe i silne jak konie ekipy angielskiej, ale bardziej i dokładniej od nich wypracowane. Tak na czworoboku, jak w terenie i na parcoursie imponowały spokojem, posłuszeństwem, swobodą i elastycznością. Ponadto szczególnie wyróżniły się wyrównaniem typu, co nie tyle świadczy o hodowli amerykańskiej, bo tylko jeden koń ekipy ją reprezentował, ile o wyraźnie ukierunkowanym doborze koni do tej dyscypliny sportu.

Braźowy medal zespołowy wywalczony przez ekipę RFN na Olimpiadzie w Monachium był pewnym zaskoczeniem nawet dla samych Niemców i fetowany bardziej niż złoty w skokach. Nie negując wysokiego poziomu dyscypliny WKKW w tym kraju, opinia światowa uzasadniała ten sukces raczej przewagą własnego terenu i publiczności. Lecz już w 1973 r. zespołowe zwycięstwo w Mistrzostwach Europy, a jednocześnie II i III miejsca indywidualne, potwierdziły wysoką klasę tego zespołu. Zajęcie w 1973 r. III miejsca zespołowo na Mistrzostwach Świata w Burghley nie przyszło Niemcom łatwo; było ono w pełni zasłużone, lecz niemniej szczęśliwe. Natomiast lokaty indywidualne 17, 18, 19, 20 i 28 — były jednak dość odległe, a bardzo słaby przebieg w crossie Siuxa pod Horstem Karstenem lub nie ukończenie crossu przez Vaibel pod Kurtem Merglerem świadczyło o obniżeniu się klasy tych rutynowanych koni i jeźdźców.

Niemniej jednak RFN wprowadza w szranki międzynarodowe nowych, młodych, utalentowanych jeźdźców, czerpiąc z bogatych, doskonale wyszkolonych rezerw. Występy Martina Plewy i Franka Offeney są coraz bardziej udane i rokują im dużą przyszłość.

Obok znanych koni niemieckiej hodowli, coraz częściej wprowadzane są do ekipy RFN konie angielskie, irlandzkie i inne. Na przykład zakupiony w Anglii, ale szwedzkiej hodowli Veberod lub również zakupiony w Anglii, lecz australijskiej hodowli Upper Strata (xx ?) — zrobiły w Burghley duże wrażenie. Jeden z czołowych jeźdźców — olimpijczyk Karl Schultz — jeżdżący w stajni multimilionera dr. Schnapka na koniach przygotowywanych do WKKW przebywa właściwie prawie stale w Anglii, dosiada zakupionych tam koni w licznych konkursach kombinowanych, polowaniach, biegach od punktu do punktu itp., szeroko korzystając ze zdobyczy treningowych i specjalnej atmosfery „terenowców” angielskich. Jego zdecydowane zwycięstwo w ostatnim tegorocznym CCI na terenie RFN w Achselschwang, na angielskim Blue Gras, zapewnia mu czołowe miejsce w ekipie RFN na sezon 1975.

Coraz śmielsze wykorzystywanie w WKKW koni najbardziej do tego celu się nadających, pozbawione lokalnych ambicji, w połączeniu ze świetnie wyszkolonym materiałem jeździeckim pozwala przypuszczać, że RFN ma poważne szanse pozostania w ścisłej czołówce światowej.

Niestety, brak jest porównań z Australią, która od ostatniej Olimpiady nie udziela się na arenie międzynarodowej, ale wielokrotne sukcesy olimpijskie tej ekipy, dosiadającej koni hodowli własnej lub angielskiej i irlandzkiej, reprezentującej system szkolenia anglo-amerykański, również nie pozwala na wyłączenie jej ze ścisłej czołówki światowej.



Jan Kłym z WKS Legia — Miłosna na koniu Infantado — IV miejsce na JMP WKKW w Kwidzynie w 1974 r.  
Wszystkie zdjęcia w artykule (fot. S. Rozwadowski).

Anglię, RFN, rzadko, ale skutecznie występujące Stany Zjednoczone AP oraz obdarzając kredytem zaufania Australię — można w dalszym ciągu uważać za najpoważniejszych kandydatów do zespołowych medali w Montrealu, choć z niespodziankami trzeba się zawsze liczyć. Mogą ją zrobić takie ekipy jak bardzo progresująca ostatnio Irlandia, nierówna, ale o ogromnych możliwościach ekipa ZSRR, dalej Francja, nieraz odnosząca ogromne sukcesy, lecz ostatnio kulejąca, wreszcie dysponujące irlandzkimi i angielskimi końmi Szwajcaria i Włochy.

Na Mistrzostwach Świata w Burghley 8 miejsce zajęła Julia Graham, jedyna przedstawicielka Kanady, stale trenująca w Anglii. Jeżeli reszta ekipy kanadyjskiej choć w części jej dorówna, to ekipa gospodarzy Montrealskiej Olimpiady może mieć dużo do powiedzenia, czego przykłady w historii występów jeździeckich na olimpiadach były już odnotowywane.

Należy żałować, że chwilowo z walki o czołowe lokaty została wyłączona ekipa NRD, której starty w okresie od Meksyku do Monachium były tak rewelacyjne.

Jak na tym tle wygląda polska ekipa?

Trzeba przyznać, że nie najlepiej, a na temat przyczyn takiego stanu powiedziano i napisano już bardzo wiele, szkoda jednak, że bez jakichkolwiek pozytywnych rezultatów.

Jedną z ważniejszych dotychczasowych przyczyn był brak jakiegokolwiek masowości i szkolenia. Ten stan bardzo nieznacznie i powoli, niemniej jednak stale zaczyna się poprawiać. Nie nadąża za tym jakość materiału końskiego, który w stosunku do lat sześćdziesiątych albo się pogorszył pod względem jakości wyczynowej, albo nie może już sprostać stale rosnącym wymaganiom międzynarodowym.

Ostatnie posunięcia hodowlane, może jeszcze nieśmiało i mało zorganizowane, pozwalają na pozytywne rokowania. Ale od ilu to już lat ciągle zapowiadamy, że mamy dobre młode konie, a tylko brakuje nam starszych, rutynowanych, reprezentujących odpowiednią klasę? Młode dorastają, lecz nim zdobędą rutynę gdzieś się po drodze wykruszają, zmieniają specjalizację, zmieniają właścicieli, tracą zapowiadaną klasę — jednym słowem giną dla wyczynu w WKKW.

Sądząc po prognozykach należy zakładać, że masowość sportów konnych, a wśród nich i WKKW, będzie stale wzrastać, a państwowa hodowla będzie wychodziła naprzeciw zapotrzebowaniu koni o znamionach klasy wyczynowej. Równocześnie głównym zadaniem odnośnych władz sportowych musi być dostarczenie odpowiedniej kadry instruktorsko-trenerskiej. Nie tylko w sporcie wyczynowym, ale przede wszystkim w szkoleniu podstawowym, prowadzonym w klubach i sekcjach jeździeckich, brak odpowiednich szkoleniowców, zawodowo czy nawet społecznie zaangażowanych, przekreśla szanse wyrównania poziomu jeździectwa, od którego do wyczynu już nie jest zbyt daleka droga.

Niestety, czas biegnie nieubłaganie naprzód i dziś tylko w bardzo nielicznych wypadkach można korzystać z doświadczeń trenerów reprezentujących gruntowne wyszkolenie jeździeckie, zwłaszcza takich, którzy własne wiadomości stale wzbogacają i śledzą aktualne wymogi jeździectwa wyczynowego. Uzasadnione do pewnego stopnia ambicje wychowania przez polskich trenerów polskich jeźdźców, dosiadających polskich koni, w dobie internacjonalizmu sportowego tracą chyba powoli aktualność. Szkoleniowo nie nadążamy za światowym jeździectwem wyczynowym, a jeżeli nie znajdziemy środków i chęci na zaangażowanie zagranicznych trenerów, reprezentujących uznane kierunki szkolenia, to w dalszym ciągu będziemy dreptać w miejscu. Drogą taką od dawna już poszły dysponujące lepszą od naszej kadrą narodowe związki jeździeckie, nie oglądając się na własne ambicje lub — powiedzmy szczerze — ambicjki. Jeżeli nawet przy naszych nader skromnych możliwościach osiągalibyśmy sporadycznie sukcesy zespołowe lub indywidualne w międzynarodowych zawodach WKKW seniorów lub juniorów, to świadczą cnie bardziej o możliwościach drzemiących w naszym materiale jeździeckim lub końskim, niż o świadomie zrealizowanych założeniach zorganizowanej i celowej pracy szkoleniowej i hodowlanej.

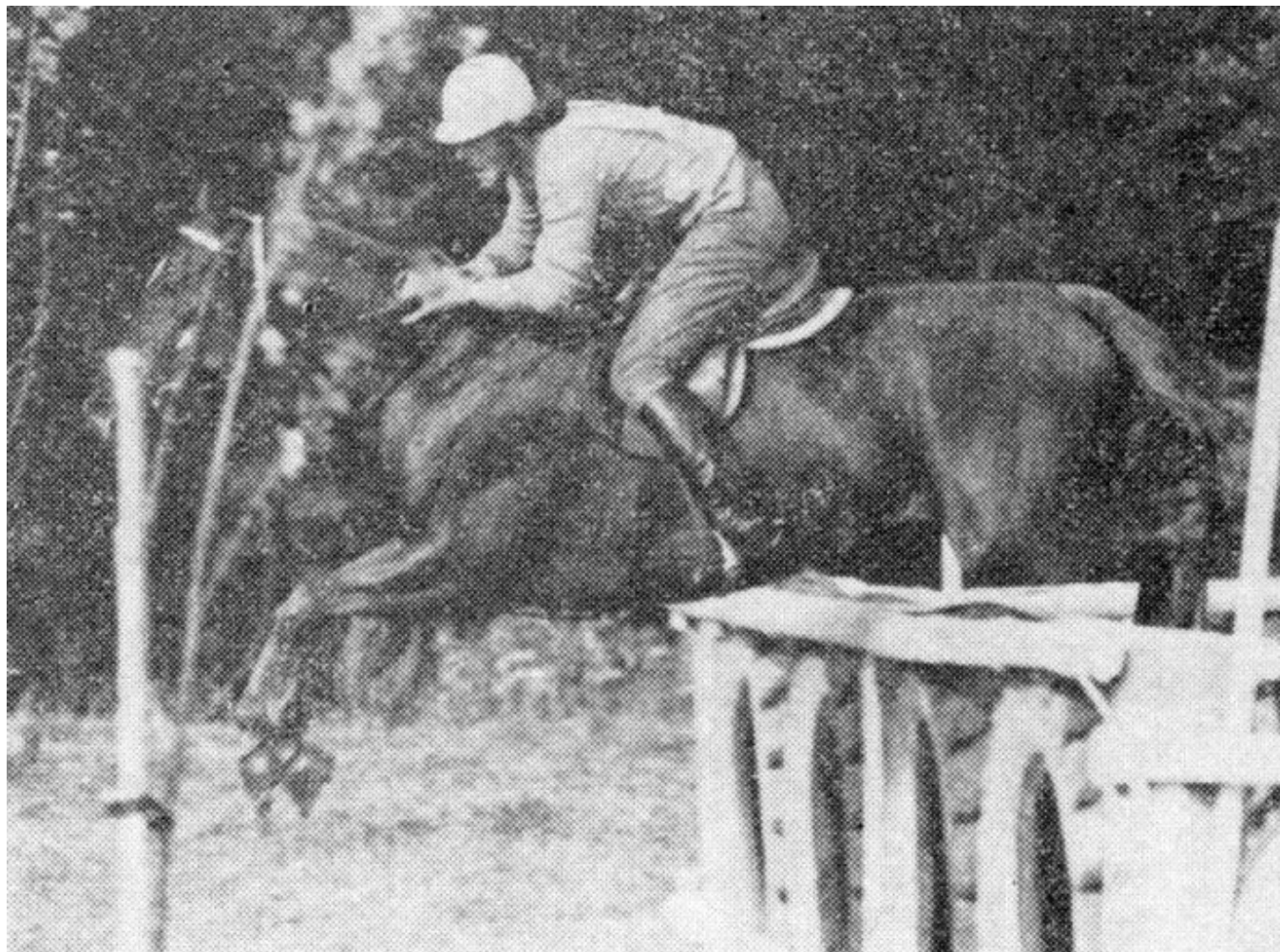
Niechętnie początkowo uznawana przez część działaczy sportowych współpraca z czechosłowackimi trenerami (płk. Jandl, mjr Pitlik) — dawała wyraźne owoce, jeżeli nawet nie w wynikach (choć i takie były bezsprzecznie), to w podniesieniu wyszkolenia podstawowego jeźdźców i koni wchodzących w skład kadry. Ta zbyt krótko trwająca współpraca nie mogła dać długotrwałych wyników, niemniej dziś widać wyraźnie, jak tej nawet sporadycznej współpracy coraz bardziej zaczyna brakować.

Na Olimpiadzie w Monachium ekipa polska uplasowała się na 10 miejscu, a najlepszy nasz jeździec Jacek Wierzchowiecki na 6-letnim Gniewie — na 18 miejscu. Rozważając nawet wszystkie „za i przeciw” i „co by było gdyby było” — to w aktualnym układzie sił światowych, zasłużyliśmy na takie miejsce.

Czy w ciągu ostatnich dwu lat, zwłaszcza w świetle doświadczeń Mistrzostw Europy 1973 i Mistrzostw Świata 1974, progresowaliśmy w skali międzynarodowej, czy też nie? Trudno na to pytanie odpowiedzieć. W Kijowie startowało niewiele ekip. Poza RFN, ZSRR i Anglią reszta nie zaliczała się do czołówki europejskiej. Nieszczęśliwy wypadek J. Kłyma na jednej z ostatnich przeszkód crossu odebrał nam IV miejsce zespołowe. Jadący indywidualnie A. Kubiak na Sopranie, zajmując 8 miejsce uratował

honor Polaków.

W Burghley startowała, poza Australią, cała czołówka światowa; wywalczone tam 6 miejsce zespołowe i 15 Jacka Wierzchowieckiego na Gniewie uważaliśmy za sukces, bo właściwie potencjalnie lepsze od nas ekipy Francji, Włoch i Szwajcarii — konkurencji nie ukończyły, nie wspominając już o Austrii i Holandii.



Krzysztof Aftyka z WKS Legia — Miłosna — I wicemistrz Polski WKKW 1974; na zdjęciu na koniu Odymi podczas JMP WKKW w Kwidzynie w 1974 r.

Sukces był zatem czy nie był? Ekipy Anglii, RFN, Irlandii i ZSRR ukończyły zawody tylko trzema końmi, my także. Mały wypadek w tamtych ekipach, a bylibyśmy wysoko, również mały wypadek w naszej ekipie, a nie byłoby nas nigdzie. A o wypadki w WKKW jak wiadomo nie trudno, z tym, że przeważnie wypadki „czepiają się” słabszych ekip. Piętnaste miejsce indywidualne Wierzchowieckiego na Gniewie było zaskoczeniem dla fachowców, ale po dwu tygodniach treningu, który nastąpił po miesięcznej przerwie spowodowanej skomplikowanym złamaniem obojczyka Jacka Wierzchowieckiego, start tej pary w Mistrzostwach Świata był „ratowaniem honoru Polaków”, bo więcej ratować go nie było czym. Trzy konie polskiej ekipy i jeden indywidualnie doszły do celownika, choć ani rutyna koni, ani ich przygotowanie, ani ich możliwości nie rokowały wielkich nadziei na przebycie tego pięknego, naprawdę fair (a nie jak polska prasa podała „pełnego pułapek”), ale o najwyższym stopniu wymagań postawionego crossu. Konie nasze doszły do celownika, ale poza Gniewem żaden nie wykazał klasy wyczynowej upoważniającej do startu w tak ciężkiej konkurencji. Że ekipa ukończyła, to było na pewno szczęśliwym zbiegiem okoliczności (choć raz na naszą korzyść, a nie odwrotnie), ale było to też zasługą ogromnej odwagi i ambicji naszych jeźdźców, którzy tymi cechami nadrabiają braki szkoleniowe

i niedostateczną klasę dosiadanych koni. I właśnie o te jakże ważne w WKKW cechy oparłbym możliwości przygotowywania naszej ekipy na Olimpiadę w Montrealu. Nie mając jednak możliwości zebrania w tak krótkim czasie odpowiednio rutynowanego i klasowego materiału końskiego, pierwszeństwo w ekipie należy dać jeźdźcom młodym, pełnym energii i ambicji, a nawet do pewnego stopnia ryzykanctwa. Gdyby im nawet start w Montrealu się nie udał, to i tak zdobędą tam dużą dozę doświadczenia do następnego startu olimpijskiego w Moskwie, do którego nasza hodowla będzie już w stanie dostarczyć odpowiednich koni.

Czy do startu olimpijskiego w Montrealu upoważnia nas progresja w skali światowej lub choćby europejskiej, jaka nastąpiła od czasu występu olimpijskiego w Monachium 1972? Dwa międzynarodowe występy w tak poważnych imprezach były przyjęte przez ogólną opinię dość nijako, bo niby niskie miejsca — więc brak sukcesu, ale znów nawiązana walka z czołówką — więc jakieś znamiona sukcesu i obiecująca zapowiedź na przyszłość.

Dla fachowców opinia była jednoznaczna — sukces! Ale sukcesem było przede wszystkim przezwycięzenie własnej słabości.

W 1973 r. na CCI w Haide Kalmhout (Belgia) ekipa nasza wygrywa zespołowo, a Jacek Wierzchowiecki na Gniewie był drugi. W rok później, w tym samych międzynarodowych zawodach ekipa polska powtórzyła wynik, ale jeszcze bardziej zdecydowanie, zaś prawdziwy triumf święcił Jacek Wierzchowiecki na Gniewie, zdobywając 3 puchary (w tym jeden szczerozłoty) za I m. w ujeżdżeniu, za I m. w próbie terenowej i za I m. w całości CCI. Sukces taki jest bardzo rzadko notowany w historii WKKW. W zawodach tych nie startowała co prawda czołówka światowa, ale kilku olimpijczyków w ekipach Włoch i Francji, mistrz Europy Juniorów z 1970 r. z RFN i zawsze groźna, choć młoda ekipa angielska — nie ułatwiały sukcesów naszej ekipie. W zawodach tych wygraliśmy z liczącymi się wysoko w skali światowej ekipami Włoch, a zwłaszcza Francji, zaś w Monachium, Kijowie i Burghley niewiele ustępowaliśmy ekipie ZSRR. Prognozy na pewno dobre, ale o jednym nie można zapomnieć — ZSRR, Szwajcaria, Włochy i Francja dysponują dużo większymi, dobrze wyszkolonymi rezerwami, lepszym materiałem końskim, a nade wszystko już dziś są w okresie pełnej mobilizacji przed Montrealem. A my nawet nie mamy realnego planu przygotowań.

Przed nadchodzącą olimpiadą jeźdźców europejskich czeka jeszcze jeden poważny egzamin — Mistrzostwa Europy w Luhmühlen (RFN) w 1975 r., które dla wielu będą kamieniem probierczym możliwości olimpijskich.

Do reprezentowania barw polskich pretenduje co najmniej 10 jeźdźców, obawiam się, że przynajmniej połowa bez odpowiednich koni. Zatem na pytanie czy progresowaliśmy od Monachium, odpowiedziałbym twierdząco, ale tylko pod względem poziomu jeźdźców, biorąc pod uwagę nawet ich mankamenty wyszkoleniowe i doświadczenie. Klasa i rutyna koni, którymi nasi jeźdźcy dysponują na starty międzynarodowe jest daleka od zadowalającej. Do Mistrzostw Europy w Luhmühlen już niespełna 1/2 roku, więc nie spodziewajmy się cudów, zaś do Olimpiady prawie 1 1/2 roku. Może zdołamy utrzymać do tego czasu jednego czy dwa bardziej rutynowane i klasowe na nasze warunki konie, może dojdzie coś z dobrze zapowiadającego się narybku, choć czasu na to już bardzo mało.

Nie patrzmy więc na Montreal jak na upragniony punkt zwrotny w polskim WKKW, gdyż obecny okres międzyolimpijski marnujemy podobnie, jak już zmarnowaliśmy parę poprzednich. Niemniej jednak właśnie w obecnym okresie widać wyraźne objawy poprawy sytuacji, tak pod względem nowego narybku jeździeckiego, jak i pod względem młodych, obiecujących koni. Do Moskwy jest jeszcze około 6 lat, a jeżeli ich po raz pierwszy nie zmarnujemy, to może będziemy mogli zacząć przewidywać nawiązanie równorzędnej walki z czołówką światową.

WKKW jest sportem ludzi odważnych, ambitnych, czystych amatorów, nie uznających z góry przegranych pozycji. Jest sportem, w którym nie raz sukcesy odnosiły konie o żelaznej wytrzymałości,



zwinne, odważne, potrafiące dać z siebie wysiłek ponad normalne własne możliwości. Nie wdając się więc w matematyczne wyliczenia i rozważania zmobilizujemy się po raz pierwszy, włączmy do tego całą naszą społeczność jeździecką i hodowlaną, aby przygotowania olimpijskie przebiegały w możliwie optymalnych warunkach. Nie powinien obniżać naszych wysiłków aktualny stan polskiego jeździectwa. Przeciwnie, winien je wreszcie obudzić z długoletniego letargu. Wyjazd do Montrealu jest dla nas konieczny ze względów szkoleniowych, ale będzie chyba dopiero połową celu, do jakiego musimy dążyć w aspekcie moskiewskiej olimpiady. A chyba właśnie te Igrzyska Olimpijskie, rozgrywane na sąsiedniej ziemi radzieckiej, będą dla nas absolutnie zobowiązujące.